

## *Tamte czasy nie potrzebują legend, wystarczy prawda*

Zespół Szkół Elektronicznych w Lublinie zorganizował drugą edycję konkursu „Rodzinna historia”, skierowanego do uczniów gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych. Poniżej drukujemy kolejną nagrodzoną pracę. Jej autorką jest **Dominika Remiasz** z Zespołu Szkół nr i im. Władysława Grabskiego w Lublinie. Skróty pochodzą od redakcji.

Dla mieszkańców Lubelszczyzny, jak również całego narodu polskiego, klęska wrześniowa była olbrzymim szokiem i przygnębieniem. Już w październiku 1939 r. zaczęły powstawać zaimki konspiracji. Na wsiach również tworzyła się konspiracja chłopska. W 1940 roku powstały Bataliony Chłopskie oraz tzw. partyzantka. Polacy gromadzili i konserwowali broń pozostałą po armii polskiej, rozbierali Niemców.

Tamten okres przypominają nazwiska bohaterów oraz wydarzenia, jakie miały miejsce na terenie Bogucina - wsi w gm. Garbów, oraz Sługocina - wsi w gm. Jastków. A oto relacja bezpośredniego świadka tamtych tragicznych wydarzeń, mojego wujka Jana Suleja: „Miałem wtedy 7 lat i doskonale pamiętam tamto wydarzenie. 8 lipca 1944 r. grupa partyzantów postępując lekkomyślnie zaczęła niemiecki konwój na szosie warszawskiej niedaleko naszego domu w Bogucinie, raniąc przy tym niemieckiego oficera. W pałacu w Jastkowie stacjonowali esesmani niemieccy. Ich sztab znajdował się w Puławach. Stamtąd właśnie wracał niemiecki oficer. Partyzanci ostrzelali jego , samochód. Niemcy wyskoczyli z auta, Skryli się w rowie i zaczęli strzelać. Gdy wszystko ucichło, odjechali do pobliskiego Jastkowa. Tam opatrzono lekkie zranienie Niemca. Okoliczni gospodarze mieli żal do partyzantów, że niepotrzebnie strzelali do niemieckich żołnierzy, teraz przez to mogą ucierpieć niewinni ludzie. Partyzanci nie brali pod uwagę obaw mieszkańców. Twierdzili, że chcieli wyrównać własne porachunki.

9 lipca 1944 r. w godzinach rannych Niemcy dokonali pacyfikacji wsi. W nocy mój ojciec załadował na wóz bieliznę i pościel, aby ją wywieźć do rodziny Wąsików do Piotrowic Wielkich na wypadek, gdyby Niemcy chcieli zemścić się na mieszkańcach, W oddali słychać było lecący samolot, a moja 4-letnia siostra Jasia bardzo się przestraszyła. Zaczęła prosić ojca, aby ją zabrał. A on rzekł: „Idź dziecko do mieszkania, ja tylko wywiozę bieliznę i wrócę po was.” No i pojechał. Matka moja razem z siostrą Krystyną i bratem Stachem, wzięli bydło i popędzili je w stronę Piotrowic Wielkich. Matka musiała to bydło popędzać, gdyż wcale nie chciało iść. W tym czasie już przyjechali Niemcy. Matka nie zawróciła, ponieważ nie miała dowodu osobistego i bała się, że za to zostanie zabita. Cała wieś została otoczona. Siostra Jasia uciekła do mieszkania. Ja spałem w kuchni, gdy przyszła babcia mnie obudzić. Wstałem i ubrałem się. W tym czasie przez otwarte okno padł strzał do mojej 3-letniej siostry Danusi. Zraniona zaczęła bardzo płakać. Próbowałem ją uciszyć, ale zaraz babcia zabrała ją do pokoju. Drzwi były zamknięte, Niemcy zaczęli się dobijać. Babcia krzyczała, abym ich nie wpuszczał. Ale cóż ja, taki mały chłopiec mogłem zrobić? Niestety, wyważyli drzwi. Weszło dwóch Niemców. Jeden z nich miał już przygotowaną w rękach słomę do podpalania. Babcia zaczęła prosić: „Niech pan nie...” i nie dokończyła. Padł strzał i babcia osunęła się na podłogę, nie wydając żadnego głosu. Wtedy esesman zaczął strzelać do wszystkich po kolei: do moich sióstr bliźniaczek Helci i Stefci, i do 4-letniej Jasi. Później wyciągnął mnie zza drzwi, bo tam się schowałem. Postawił mnie na środku pokoju i strzelił w bok. Kula przeszła mi przez płuco i z tyłu pleców wyszła. Nie zastanawiając się, w ułamku sekundy, wskoczyłem pod łóżko. Kiedy tam się znalazłem, jeden Niemiec podpalił słomę w kuchni. Drugi wyskoczył oknem i czekał przy parapecie na zewnątrz z karabinem wycelowanym w moją stronę. Wiedział, że ja pod tym łóżkiem jeszcze żyję i będę próbował uciekać. Kiedy wychylałem się spod łóżka on we mnie celował. Wówczas chowałem się znowu. Udało mi się jednak wciągnąć ranną, płaczącą siostrę Jasię pod łóżko. Niemiec widząc, że ja nie wychodzę, a ogień sięga już drewnianego łóżka i pali się podłoga, odszedł wrzucając do pokoju granat. Granat spadł na puste łóżko, gdyż wszystkie pierzyny zostały wywiezione, wybuchając zranił dotkliwie moją siostrę w brzuch, a mnie w nogę.

Niemcy byli już u sąsiadów, już płonęły następne zabudowania. Nad wioską co chwila przelatywał samolot ostrzeliwując z powietrza uciekających ludzi. Kto uszedł uwadze żołnierzy lądowych, dostał się pod ostrzał z powietrza. Wszedłem spod łóżka i wyciągnąłem ranną siostrę. W kołysce, zwróconej tylną ścianą do ognia, leżał mój 9-miesięczny braciszek Tadzio. Rozprzestrzeniający się po pokoju ogień jeszcze go nie objął i nie

parzył, gdyż braciszek śmiał się i machał rączkami. Do dziś nie mogę sobie darować tego, że go nie uratowałem. Mam ogromne wyrzuty sumienia, że nie wyrzuciłem go przez okno. Może wtedy by przeżył. Byłem sparaliżowany strachem. Wszystko już się paliło, nawet włosy miałem opalone... Ratowałem siostrę. Przystawiłem szybko krzesło i przez otwarte okno spuściłem siostrę na ziemię. Potem wyskoczyłem sam. Czołgaliśmy się przez ziemniaki w stronę Piotrowic Wielkich. Siostra nie mogła iść, bardzo jęczała i częściej musiałem ją nieść. Widziałem, że wszystkie wnętrzności miała na wierzchu. Ostatkiem sił dotarliśmy do Wawerskich, ale tam nie było nikogo. Wszyscy wcześniej puciekali. Przed ich domem położyłem siostrę.

. Obok stały wiadra z wodą, bo studni nie było. Siostrę widocznie paliła gorączka, ponieważ cały czas chciało jej się pić. Być może ta woda przyśpieszyła jej zgon. Po trzech godzinach zmarła, ja zaś przeleżałem tam cały dzień i całą noc. Tak wspomina tamte dni moja babcia Zofia Reszka, wówczas 9-letnia dziewczynka: „Pamiętam jak partyzanci chodzili po wioskach w poszukiwaniu żywności. Najczęściej łapali kury. 8 lipca 1944 r. byli w naszym domu i nałapali dużo kur, a ponieważ nie mieli w co ich włożyć, to pożyczili od mojego ojca, Jana Stefaniaka, duży worek. Tam je zapakowali. Potem udali się na Kolonię do Piotrowic Wielkich, do gospodarzy, u których zawsze zatrzymywali się na posiłek. Tam zabijali te kury, oporzadzali je i gotowali. Potem jedli. Tego wieczoru doszło właśnie do ostrzelania niemieckiego konwoju przez tych partyzantów w okolicach domu Sulejów, na szosie prowadzącej z Warszawy do Lublina. Na drugi dzień rano, wstaliśmy obudzeni głośną artylerią z powietrza. Wybiegliśmy czym prędzej na podwórko i wtedy ujrzeliśmy płonące domy Kolonii Bogucin. Co chwila przelatywał nieprzyjacielski samolot. Okrążał wioskę i zwracając ostrzeliwał ją. Wszędzie było pełno dymu, szyby drżały w oknach.

Co chwila słychać było wystrzały. Ojciec mój wysłał nas wszystkich, mamę i dzieci do pobliskich Lesiec, a sam wypędził bydło i został w domu. W razie zagrożenia miał uciekać w pola. Po dokonaniu kaźni mieszkańców, Niemcy odjechali, Dopiero na drugi dzień powróciliśmy do domu."

Podobnie opowiada o tym wydarzeniu moja prababcia Stanisława Wawerska: „To było w same żniwa w roku 1944-Niemców było już, coraz mniej. Kiedy partyzanci strzelali do niemieckiego konwoju i postrzelili oficera, Niemcy zemścili się i spalili wieś, a mieszkańców zabili. Mieszkaliśmy wtedy w odległości ok. 600m od tej kolonii i wszystko bardzo przeżyliśmy. W górę strzelały snopy dymu i ognia, płonęły domy. Wysoko przelatywały palące się czerwone liście i wydawało się, że od tego zaraz wszystko się zapali. Powynosiliśmy z domu najbardziej potrzebne rzeczy. Dziadek wypuścił z chlewu świnie, aby w razie pożaru zwierzę nie męczyło się w klatce. Krowę wyprowadził i poszedł z nią inną drogą do Piotrowic. Wzięłam małą 1-roczną Tereskę i uciekaliśmy przez kartofle i zboża.

Mimo klęski poniesionej we wrześniu 1939 r. Polacy nie zrezygnowali z dalszej walki z na-jeźdźcami. Na ziemiach polskich powstawały tajne organizacje, które zwalczały okupanta. Największą organizacją konspiracyjną była Armia Krajowa (AK). Starszy syn moich pradziadków Józefa i Małgorzaty Reszków zam. w Sługocinie, Stefan, należał właśnie do tej organizacji. W walce z okupantem brali również udział młodzi chłopcy, roznosząc meldunki i ulotki, rozlepiając afisze ośmieszające wroga. Mój dziadek Henryk Reszka tak wspomina swoją konspiracyjną działalność: „Byłem 11-letnim chłopcem. Bardzo często mój starszy brat Stefan posyłał mnie do swoich kolegów, na sąsiednią wioskę do Moszenek i Bogucina, w celu załatwienia drobnych spraw. Tak mi się wtedy wydawało. Jeździłem rowerem i nigdy nie zauważyłem, że kiedy dotarłem na miejsce dokładnie przeszukiwano mój rower. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że byłem młodocianym łącznikiem, który przewoził meldunki w skrytce w rowerze.

Koleje losów wsi Sługocin i Kolonii Bogucin były zmienne, podobnie jak dzieje całego kraju. W Sługocinie z dawnych chat krytych strzechą nic już nie pozostało. Stoją ładne, piętrowe domy i większość ludzi pamiętająca czasy wojny już nie żyje. Wieś ma asfaltową szosę, a o tamtych czasach szumi jeszcze rzeka Ciemięga i stare olszyny. W miejscu dawnego schronu, gdzie ukrywali się Żydzi, ratowani m.in. przez rodzinę Reszków, stoi jednorodzinny dom. W Kolonii Bogucin las już nie istnieje. Jedyne na tabliczce informacyjnej ulokowanej w pobliżu przystanku PKS figuruje napis „Lasek Bogucki". W wiosce znajduje się pomnik poświęcony poległym żołnierzom AK oraz pomnik - głaz upamiętniający pacyfikację kolonii.

Źródło: Remiasz Dominika, *Tamte czasy nie potrzebują legend, wystarczy prawda*, „Polska Kurier Lubelski” 3 lipca 2009, s. 6.